



Elizabeth Strout, „Okruchy codzienności”
Fragment

Apteka

Od wielu lat Henry Kitteridge pracował jako farmaceuta w małym miasteczku i każdego ranka dojeżdżał do pracy zaśnieszonymi lub mokrymi drogami, albo drogami w pełni lata, gdy dzikie maliny wypuszczały nowe kolczaste pędy w gąszczu zarośli na obrzeżach miasta, zanim się skręciło w szerszą ulicę prowadzącą do apteki. Teraz, na emeryturze, wciąż budzi się wcześniej i wspomina, jak dobrze niegdyś czuł się rano, jakby cały świat był jego tajemnicą. Opony sunęły miękko po nawierzchni, światło przebijało się przez poranną mgłę, po prawej stronie ukazywała się na chwilę zatoka, a potem wysokie, smukłe sosny. Niemal zawsze jeździł z uchylonym oknem, ponieważ kochał zapach sosen i ciężkie od soli powietrze, a w zimie – jej mroźne tchnienia.

Apteka znajdowała się w niewielkim piętrowym budynku przyczepionym do innego, gdzie mieściły się oddzielnie sklep z artykułami żelaznymi i mały sklepik spożywczy. Codziennie rano Henry parkował na tyłach, obok wielkich metalowych koszy, następnie wchodził do apteki tylnymi drzwiami, zapalał światła, podkręcał termostat, a latem włączał wentylatory. Otwierał sejf, przekładał pieniądze do kasy, odciągał zasuwę we frontowych drzwiach, mył ręce i wkładał biały laboratoryjny fartuch. Był to przyjemny rytuał, jakby ów stary sklep ze swoimi półkami wypełnionymi pastą do zębów, witaminami, kosmetykami, ozdobami do włosów, nawet przyborami do szycia i kartkami okolicznościowymi, a także czerwonymi gumowymi termoforami i gruszkami do lewatywy, przypominał żywą osobę, stanowczą i nieugiętą. A każda ewentualna nieprzyjemność, każda chwila niepokoju, ilekroć żona Henry’ego wstawiała w nocy z łóżka i wędrowała w ciemności po domu – wszystko to cofało się niczym piaszczysta linia wybrzeża, gdy wkraczał w bezpieczne zacisze apteki. Stojąc na zapleczu, obok szuflad i rzędów lekarstw, Henry cieszył się na dźwięk dzwonka, gdy pani Merriman przychodziła po swój lek na nadciśnienie albo zjawiał się stary Cliff Mott po wyciąg z naparstnicy; cieszył się, szykując valium dla Rachel Jones, od której mąż uciekł w noc narodzin ich dziecka. Henry był urodzonym słuchaczem i wielokrotnie w ciągu tygodnia powtarzał: „Do licha, ogromnie mi przykro” albo „No nie, to niepojęte”.

W głębi serca odczuwał ciche dreszcze niepokoju znane komuś, kto w dzieciństwie dwukrotnie był świadkiem nerwowych załamań matki, która w innych chwilach gorliwie się nim opiekowała. Dlatego gdy klient – co zdarzało się czasami, choć rzadko – okazywał zdenerwowanie na widok ceny leku albo nie odpowiadała mu jakość bandaża bądź worka z lodem, Henry robił, co mógł, by jak najszybciej naprawić sytuację. Przez wiele lat pracowała u niego pani Granger, niezbyt skłonna zadowolić nieufnego klienta; jej mąż łowił homary i zdawała się wnosić z sobą zimny powiew otwartego morza. Wypełniając formularze recept, Henry nasłuchiwał, czy nie uznała za stosowne odrzucić czyjejs skargi. Nieraz powracało do niego to samo wrażenie, gdy musiał czuć, czy jego żona Olive nie naciska zbyt mocno Christophera z powodu zadania domowego albo niedopatrzenia w zakresie obowiązków; to samo zawieszenie uwagi – ta potrzeba, by każdemu dogodzić. Słyszając wyjątkowe ożywienie w głosie pani Granger, opuszczał pomieszczenie na zapleczu i przechodził do sklepu, by osobiście porozmawiać z klientem. W innych wypadkach pani Granger dobrze wykonywała swoją pracę. Henry doceniał to, że nie była gadatliwa, utrzymywała idealny porządek w księgowości i bardzo rzadko zdarzała się jej nieobecność z powodu choroby. To, że pewnej nocy zmarła we śnie, zdumiało go, a zarazem napełniło swoistym poczuciem profesjonalnej odpowiedzialności, jakby przeoczył

- pracując tuż obok niej przez lata - jakiś symptom, który on, sprzedając te swoje tabletki, syropy i strzykawki, mógł zauważyć i wyleczyć.

- Myszwata - stwierdziła jego żona, gdy zatrudnił nową asystentkę. - Wygląda jak mysz.

Denise Thibodeau miała zaokrąglone policzki i małe oczka wzierające przez szkła okularów w brązowej oprawie.

- Ale to miła myszka - odparł Henry. - Urocza. I rezolutna.

- Nie ma takich rezolutnych, którzy nie potrafią stać prosto - oznajmiła Olive. Istotnie, wąskie ramiona Denise pochylały się do przodu, jakby ciągle za coś przeproszała. Miała dwadzieścia dwa lata i właśnie skończyła stanowy uniwersytet w Vermont. Jej mąż także miał na imię Henry i Henry Kitteridge, gdy poznał Henry'ego Thibodeau, był pod wrażeniem - jak to postrzegał - nieskrępowanej doskonałości. Mocno zbudowany młody człowiek tryskał energią z błyskiem w oku, dodającym ożywienia jego przyzwoitej, przeciętnej twarzy. Pracował jako hydraulik w firmie należącej do wuja. Byli z Denise małżeństwem od roku.

- To nie najlepszy pomysł - stwierdziła Olive, gdy zasugerował, by zaprosili młode małżeństwo na kolację. Henry porzucił temat. Właśnie wtedy jego syn - który nie okazywał jeszcze oznak wieku dojrzewania - stał się nieoczekiwanie poważny i uporczywie nadasany, ten jego nastrój przesycił atmosferę niczym trucizna, Olive zaś wydawała się równie zmienna i odmieniona jak Christopher. Obydwoje kłócili się namiętnie i burzliwie, podczas gdy niczego niepojmujący, oszołomiony Henry czuł się dziwnie obco.

Ale stojąc na parkingu pod koniec letniego dnia i rozmawiając z Denise i Henrym Thibodeau, kiedy słońce wtulało się w osłonę świerków, Henry Kitteridge wspominał własne studenckie lata i tak zatęsknił za dalszym przebywaniem w obecności tych dwojga młodych ludzi ze zwróconymi ku niemu nieśmiałościami twarzami, że zaproponował: „Może przyszlubyście do nas za kilka dni na kolację?”.

Pojechał do domu, mijając wysokie sosny i migotliwą zatokę, myśląc o młodych Thibodeau, którzy zmierzali w przeciwną stronę, ku swojej przyczepie ustawionej na obrzeżach miasta. Wyobraził sobie tę przyczepę, przytulną i schludną - ponieważ Denise była porządna - i ich dwoje, omawiających miniony dzień. Denise mogła powiedzieć: „Jest wyrozumiały jako szef”, a jej mąż: „O tak, bardzo mi się podoba ten facet”.

Henry skręcił w podjazd, który właściwie był nie tyle podjazdem, ile spłachetkiem trawnika na szczycie wzgórza, i w ogrodzie zobaczył Olive.

- Witaj - powiedział, podchodząc do niej. Chciał wziąć ją w ramiona, lecz tuż obok zastygła ciemność, towarzysząca jej niczym znajomy, który nie chce odejść. Więc tylko poinformował, że państwo Thibodeau przyjdą na kolację. - Tego wymaga uprzejmość.

Olive otarła pot z górnej wargi i odwróciła się, by wyrwać z ziemi pęk cebuli dymki.

- No to kłamka zapadła, panie prezesie - oświadczyła. - Proszę wydać dyspozycje kucharce.

W piątkowy wieczór zaproszona para udała się za nim do domu i młody Henry uściskał dłoń Olive.

- Ładnie tutaj - zauważył. - Z tym widokiem na morze. Pan Kitteridge wspominał, że sami zbudowaliście państwo ten dom.

- Tak, rzeczywiście.

Christopher przysiadł przy stole bokiem, z niezdarnością nastolatka, i nie zareagował, gdy Henry Thibodeau zapytał, jakie sporty uprawia w szkole. Henry Kitteridge poczuł, jak wzbiera w nim nieoczekiwana furia; zapragnął nakrzyczeć na chłopca, którego złe maniery zdradzały coś nieprzyjemnego, czego nikt się nie spodziewał w domu Kitteridge'ów.

- Kiedy pracujesz w aptece - zwróciła się Olive do Denise, stawiając przed nią półmisek z prażoną fasolą - poznasz sekrety wszystkich mieszkańców miasta.

Olive usiadła naprzeciw i podsunęła Denise butelkę keczupu.

- Trzeba wiedzieć - dodała - kiedy trzymać usta zamknięte. Ale ty chyba już to wiesz.

- Denise to rozumie - wtrącił Henry Kitteridge.

Mąż Denise odezwał się natychmiast:

- O, niewątpliwie. Nie znaleźlibyście nikogo bardziej godnego zaufania niż Denise.

- Wierzę panu - odparł Henry, podając mu koszyk z bułkami. - I proszę mówić mi po imieniu. Henry to jedno z moich ulubionych imion.

Denise zaśmiała się cicho. Polubiła go. Od razu to zauważył.

Christopher rozparł się na krześle.

Rodzice Henry'ego Thibodeau mieszkali na farmie, więc jeden i drugi Henry porozmawiali sobie o plonach, fasoli tyczkowej, kukurydzy, która z braku deszczu nie była tego lata tak wysoka jak zwykle, a także o tym, jak wyhodować na grządce dobre szparagi.

- Och, na miłość boską - powiedziała Olive, kiedy Henry Kitteridge przewrócił butelkę keczupu, którą chciał wręczyć młodemu człowiekowi, i zawartość niczym zgęstniała krew zalała dębowy stół. Usiłując złapać butelkę, Henry potracił ją, aż się potoczyła. Ketchup poplamiał jego palce, a następnie białą koszulę.

- Zostaw to - rozkazała Olive, wstając. - Zostaw tę butelkę, Henry, na miłość boską.

- Na co Henry Thibodeau, być może na dźwięk własnego imienia wymówionego ostrym tonem, usiadł wyprostowany, z zalęknionym wyrazem twarzy.

- Ojej, ale nabrudziłem - zauważył Henry Kitteridge.

Na deser każdy dostał gałkę lodów waniliowych ślizgającą się pośrodku niebieskiej miseczki.

- Waniliowe to moje ulubione - wyznała Denise.

- Doprawdy? - spytała Olive.

- Moje również - powiedział Henry Kitteridge.

Z nadejściem jesieni, gdy poranki stały się ciemniejsze i słońce zaglądało do apteki tylko przez krótką chwilę, zanim skryło się za budynkiem, i pozostawało jedynie sztuczne światło pod sufitem, Henry na zapleczu napełniał małe plastikowe fiolki i odbierał telefony, Denise natomiast dyżurowała przy kasie. W porze lunchu rozpakowywała kanapkę przyniesioną z domu i posilała się na zapleczu, gdzie mieścił się skład zapasów, Henry zaś mniej więcej w tym samym czasie zjadał swój lunch, a jeśli nie było żadnego klienta, obydwójce wypijali po filiżance kawy od sklepikarza z sąsiedztwa. Denise wydawała się cicha z natury, lecz miewała nieoczekiwane napady gadulstwa.

- Moja mama, wie pan, przez wiele lat chorowała na stwardnienie rozsiane, więc wcześniej nauczyliśmy się pomagać potrzebującym. Każdy z moich trzech braci jest inny. Nie uważa pan, że to zabawne, kiedy życie tak się układa? Najstarszy brat - dodała Denise, ustawiając butelkę szamponu - był ulubieńcem ojca, dopóki nie ożenił się z dziewczyną, która się ojcu nie podobała.

Teściowie Denise, jak podkreśliła, byli cudowni. Przed Henrym miała pewnego chłopaka, protestanta, którego rodzice nie byli dla niej tacy mili.

- Nie ułożyłoby się nam życie - dokończyła, zakładając za ucho pasemko włosów.

- No cóż, Henry to wspaniały młody człowiek - zauważył Henry Kitteridge.

Kiwnęła głową, uśmiechając się zza okularów jak trzynastoletnia dziewczynka. Ponownie wyobraził sobie jej przyczepę i ich dwoje baraszkujących jak para przerośniętych szczeniaków. Nie potrafił odgadnąć, dlaczego sprawia mu to szczególną przyjemność, jakby przelewało się przez niego płynne złoto.

Denise była równie kompetentna jak pani Granger, lecz bardziej swobodna w sposobie bycia. „Tuż pod witaminami w drugim przejściu - informowała klienta. - Zaraz pokażę gdzie”. Pewnego razu powiedziała Henry'emu, że czasami pozwala jakiejś osobie krążyć przez chwilę po sklepie, zanim zapyta, czym może służyć. „Dzięki temu, wie pan, zdarza się im przy okazji znaleźć coś, co też jest im potrzebne, a nie wiedzieli o tym wcześniej. I sprzedaż panu wzrasta”. Smuga zimowego słońca rozświetliła gablotkę z kosmetykami, pas drewnianej podłogi zajaśniał niczym plaster miodu. Henry Kitteridge uniósł brwi z uznaniem.

- To był dla mnie szczęśliwy dzień, Denise, gdy przekroczyłaś ten próg.

Poprawiła okulary wierzchem dłoni i przetarła ściereczką stoiki z maściami.

Jerry McCarthy, który dostarczał leki z Portland raz w tygodniu - lub częściej, jeśli zaszła potrzeba - zjadał niekiedy lunch w pomieszczeniu na zapleczu. Miał osiemnaście lat, dopiero co ukończył szkołę średnią. Ten wysoki, tęgi chłopak o gładkiej twarzy pocił się tak obficie, że miewał koszulę całą w mokrych plamach, czasami nawet na torsie,

przez co biedaczysko przypominał nieco matkę karmiącą. Przycupnięty na skrzyni, z masywnymi kolanami niemal przy uszach, posilał się kanapką, z której wypadły oblepione majonezem grudy sałatki jajecznej albo tuńczyka i lądowały na jego koszuli. Henry widział nieraz, jak Denise podsuwa Jerry'emu papierowy ręcznik.

- Mnie też się to zdarza - usłyszał pewnego dnia. - Ilekroć jem kanapkę z czymś innym niż wędlina, cała się brudzę. - To nie mogło być prawdą. Dziewczyna zawsze wyglądała schludnie jak z pudełeczka, choć nie grzeszyła urodą.

- Dzień dobry - odzywała się, gdy dzwonił telefon. - Tu miejscowa apteka. Czym możemy dzisiaj służyć? - Jak dziewczynka odgrywająca rolę dorosłej osoby.

A później, pewnego poniedziałkowego ranka, gdy w aptece czuło się przenikliwy chłód, Henry zagadnął swoją asystentkę, otwierając sklep: „Jak spędziłaś weekend, Denise?”. Poprzedniego dnia Olive odmówiła pójścia do kościoła, na co Henry, nietypowo jak na siebie, zwrócił się do niej ostrym tonem: „Czy proszę o zbyt wiele?”. Stał w kuchni w krótkich kalesonkach i prasował spodnie, gdy usłyszał własny głos: „Chciałbym, żeby moja własna żona towarzyszyła mi do kościoła”. Pójście bez niej wydawało się publiczną demonstracją rozpadu rodziny.

- Owszem, do jasnej cholery, prosisz o zbyt wiele! - wyrzuciła z siebie Olive, dając upust wściekłości. - Nie masz pojęcia, jaka jestem zmęczona po całym dniu w szkole i po idiotycznych zebraniach z tym cholernym kretyńcem, naszym dyrektorem! I jeszcze zakupy. Gotowanie. Prasowanie. Pranie. Odrabianie lekcji z Christopherem! A ty... - Przytrzymała się oparcia krzesła przy jadalnianym stole, ciemne włosy, wciąż rozczochrane po wstaniu z łóżka, opadły jej na oczy. - Ty, Panie Główny Diakonie i Mistrzu Mowy Trawy, oczekujesz ode mnie wyrzeczenia się spokojnych niedzielnych poranków dla gromady zadzierających nosa gnojników! - Gwałtownie i z rozmachem usiadła na krześle. - Cóż, mam już tego naprawdę dość - zakończyła spokojnie. - Po dziurki w nosie.

Wtargnęła w niego ciemność; jego dusza dławiała się smołą. Nazajutrz Olive odezwała się do niego tonem towarzyskiej pogawędki:

- W zeszłym tygodniu samochód Jima śmierdział rzygowinami. Mam nadzieję, że jest już wyczyszczony. - Jim O'Casey uczył razem z Olive i od lat zawoził ją i Christophera do szkoły.

- Też mam taką nadzieję - odparł Henry i w ten sposób ich sprzeczka dobiegła końca.

- Ach, ten weekend był cudowny - powiedziała Denise, spoglądając zza szkieł okularów z żarliwością w małych oczkach o tak dziecinny wyrazie, że od patrzenia w nie topniało serce. - Pojechaliliśmy do rodziny Henry'ego i w nocy wykopywaliśmy ziemniaki. Henry włączył reflektory w samochodzie i kopaliśmy przy ich świetle. Wygrzebywanie ziemniaków z tej przemarzniętej ziemi było jak poszukiwanie czekoladowych jajek wielkanocnych!

Przerwał rozpakowywanie dostarczonych paczek z penicyliną i zszedł z drabinki. Nie zjawili się jeszcze żadni klienci, a pod oknem od frontu syczał termostat kaloryfera.

- To z pewnością bardzo miłe, Denise.

Kiwnęła głową, dotykając tuż obok niego półki z witaminami. Przez jej twarz przemknął cień lęku.

- Zrobiło mi się zimno, więc wróciłam do auta, patrzyłam na Henry'ego wykopującego ziemniaki i myślałam, że to zbyt piękne, by było prawdziwe.

Zadał sobie pytanie, co w jej krótkim życiu mogło sprawić, że nie ufała szczęściu; być może choroba jej matki. Powiedział:

- Ciesz się tym, Denise. Masz przed sobą wiele szczęśliwych lat.

„A może - pomyślał, wracając do rozpakowywania pudeł - był to wpływ katolicyzmu: wzbudzanie w człowieku poczucia winy w każdej sytuacji”.

Następny rok - czy był najszczęśliwszym rokiem w jego własnym życiu? Często tak myślał, choć zdawał sobie sprawę, że to niemądre stwierdzenie, gdy mowa o jakimkolwiek roku z czyjegós życia; w jego pamięci jednak ten właśnie rok zachował urok czasu, w którym nie było miejsca na rozważania o początku ani o końcu i gdy Henry jechał do apteki w mroczne zimowe poranki, a później o wiosennym brzasku, w oczekiwaniu na pełnię lata, to właśnie drobne przyjemności, jakie przynosiła jego praca w

swej prostocie, zadowalały go w pełni. Kiedy Henry Thibodeau wjeżdżał na wysypany żwirem parking, Henry Kitteridge często otwierał drzwi przed Denise, przytrzymywał je i wykrzykiwał: „Witaj, Henry!” – na co Henry wysuwał głowę przez okno samochodu i odpowiadał: „Witaj, Henry” z szerokim uśmiechem na twarzy rozjaśnionej przyzwyczajoną i poczuciem humoru. Czasami gestowi pozdrowienia towarzyszyło tylko imię: „Henry!”. A drugi Henry wołał wówczas: „Henry!”. Sprawiało im to frajdę, Denise zaś, niczym delikatnie przerzucana między nimi piłka, wślizgiwała się do apteki.

Gdy zdejmowała rękawiczki, jej dłonie wydawały się dziecięco chude, lecz kiedy dotykała klawiszy sklepowej kasy albo wkładała coś do białej torebki, przybierały pełne wdzięku kształty rąk dorosłej kobiety, rąk, które – jak myślał Henry – z czułością będą dotykały męża, które pewnego dnia z cichą pewnością przewiną niemowlę, pogładzą rozgorączkowane czoło, wsuną pod poduszkę pieniądze od zębowej wróżki.

Obserwując, jak Denise przy odczytywaniu spisu towarów poprawia palcem okulary na nosie, myślał, że stanowi ona esencję tego, co amerykańskie – ponieważ działo się to w początkach hipisowskiego ruchu i artykuły w „Newsweeku” na temat marihuany oraz „wolnej miłości” wywoływały w nim niepokój, który rozpraszało jedno spojrzenie na Denise. „Pochłonie nas piekło, jak starożytnych Rzymian – oznajmiała tryumfalnie Olive. – Ameryka przypomina wielki gnijący ser”. Ale Henry wciąż wierzył w przewagę ludzi o umiarkowanych poglądach, a w pracy codziennie stykał się z dziewczyną, której jedyne marzenie polegało na stworzeniu w przyszłości ze swoim mężem prawdziwej rodziny. „Nie obchodzi mnie ruch wyzwolenia kobiet – zwierzyła się Henry’emu. – Chcę mieć dom i słać w nim łóżka”. Mimo to, gdyby miał córkę (a bardzo chciał ją mieć), przestrzegłby ją przed tym. Powiedziałaby: „Dobrze, ściel łóżka, ale postaraj się też nie stracić zdolności myślenia”. Denise nie była jednak jego córką, więc ją zapewnił, że prowadzenie domu jest szlachetnym zajęciem, mgliście tylko zdając sobie sprawę, że to kwestia wolnego wyboru: dbać o osobę, której nie łączą z tobą więzy krwi.

Uwielbiał jej prostolinijność, czystość jej marzeń, lecz to oczywiście nie oznaczało, że się w niej zakochał. Naturalna powściągliwość Denise sprawiła natomiast, że na nowo zaczął pożądać Olive. Ostro wyrażane opinie żony, bujny biust, burzliwe nastroje i nieoczekiwane wybuchy gardłowego śmiechu odsłoniły w Henrym nową, gorącą erotyczną płaszczyznę i czasami, dysząc w mroku nocy, myślał nie o Denise, lecz – o dziwo – o jej silnym, młodym mężu, o młodzieńczej żarliwości, z jaką musiał dawać upust zwierzęcej żądzy posiadania. W takich chwilach Henry Kitteridge odczuwał przyływ nieprawdopodobnego uniesienia, jakby w akcie miłosnym z żoną łączył się z wszystkimi mężczyznami okazującymi miłość kobietom, skrywającym głęboko w sobie ciemne, mszyste tajemnice ziemi.

– O rany boskie – mówiła Olive, kiedy się z niej zsuwał.

W college’u Henry Thibodeau grał w futbol amerykański, tak samo jak Henry Kitteridge.

– Czy to nie było wspaniałe? – zapytał pewnego razu młodszy Henry. Przyjechał nieco wcześniej po Denise i wszedł do apteki. – Słyszeć, jak ludzie krzyczą na trybunach? Widzieć to podanie prosto do ciebie, gdy wiesz, że je odbierzesz? Kurczę, kochałem to. – Uśmiechnął się szeroko. Jego otwarta twarz zdawała się odbijać rozszczerzone światło. – Kochałem to.

– Przypuszczam, że grałeś bez porównania lepiej niż ja – zauważył Henry Kitteridge. Był niezły w bieganiu, w zwodach i unikach, lecz zabrakło mu agresywności, by zostać naprawdę dobrym zawodnikiem. Zawstydzało go wspomnienie, że każdy mecz budził w nim strach. Ucieszył się, kiedy z powodu miernych wyników w nauce musiał zrezygnować z piłki.

– O, wcale nie byłem taki dobry – zaprzeczył Henry Thibodeau, przesuwając po głowie szeroką dłońią. – Po prostu to lubiłem.

– Był dobry – wtrąciła Denise, wkładając płaszcz. – Naprawdę dobry. Cheerleaderki dopingowały go specjalnym okrzykiem. – Nieśmiało i z dumą zacytowała: – „Śmigaj, Thibodeau, śmigaj”.

Ruszając ku drzwiom, Henry Thibodeau powiedział:

– Niedługo zaprosimy was, ciebie i Olive, na kolację.

- Och, nie zaprzataj sobie tym głowy.

Denise napisała do Olive list z podziękowaniem swoim schludnym, drobnym pismem. Olive przy stole rzuciła okiem na kartkę i podsunęła ją Henry'emu.

- Jej charakter pisma jest równie ostrożny jak ona sama - zauważyła. - Nigdy nie widziałam dziewczyny o tak pospolitej urodzie. Dlaczego przy swoim wyblakłym kolorycie ubiera się na beżowo i szaro?

- Nie wiem - odparł uprzejmie, jakby sam się nad tym zastanawiał. Co nie miało miejsca.

- Głupia gęś - skostatowała Olive.

Ale Denise nie była głupią gęsią. Potrafiła sprawnie liczyć i zapamiętywała wszystko, co usłyszała od Henry'ego o sprzedawanych lekach. Na uczelni specjalizowała się w badaniu życia zwierząt i posiadała gruntowną znajomość biologii molekularnej. Czasami w trakcie przerwy przysiadła z podręcznikiem na kolanach. Na jej dziecięcej twarzy, której powagi dodawały okulary, malował się wyraz skupienia, kolana sterczały ku górze, ramiona pochylały się naprzód.

„Urocza i rezolutna” - przemykało mu przez głowę, gdy po drodze zerkał zza otwartych drzwi. Czasami zagadywał:

- Wszystko w porządku, Denise?

- O tak, jak najbardziej.

Henry nadal się uśmiechał, ustawiając fiołki i wypisując nalepki. Charakter Denise wiązał się z jego charakterem równie łatwo, jak aspiryna z enzymem COX-2. Henry bezboleśnie przeżywał dzień; melodyjny szum kaloryferów, brzęknięcie dzwonka, ilekroć ktoś otwierał drzwi, skrzypnięcie drewnianej podłogi, „czin-czing” kasy - w tamtych dniach czasami mu się wydawało, że jego apteka przypomina zdrowy wegetatywny układ nerwowy w stanie wyciszenia i zdolności do pracy.

Wieczorami przelewała się przez niego adrenalina.

- Nic, tylko gotuję, zmywam i sprzątam! - wykrzykiwała co pewien czas Olive, stawiając przed nim gwałtownym ruchem talerz z wołowym gulaszem. - A niektórzy po prostu czekają, aż ich obsłużę, i gapią się na mnie.

Henry czuł, że jego ramiona pokrywają się z niepokoju gęsią skórą.

- Może powinieneś więcej pomagać w domu - zwracał się do Christophera.

- Jak śmiesz mu dyktować, co ma robić? Nawet cię nie obchodzi, co on przeżywa na lekcjach nauki o społeczeństwie! - krzyczała Olive, podczas gdy Christopher milczał ze znaczącym uśmiechem. - Nawet Jim O'Casey wykazuje więcej zrozumienia dla chłopca niż ty - kończyła i gwałtownym ruchem ciskała serwetkę na stół.

- Na litość boską, Jim uczy w tej szkole i codziennie widuje się z tobą i Chrisem. O co chodzi z tymi lekcjami nauki o społeczeństwie?

- Tylko o to, że cholerna nauczycielka jest kretynką, co Jim instynktownie rozumie - oznajmiała Olive. - Ty również widzisz Christophera codziennie. Ale o niczym nie masz pojęcia, bo zamknąłeś się w swoim małym świątku z Panną Brzydulińską.

- Jest dobrą pracownicą - odpowiadał Henry.

Rano jednak mroczny nastrój Olive często mijał i Henry wyjeżdżał do pracy z nową nadzieją, która poprzedniego wieczoru wydawała się uludą. W aptece okazywano mężczyznom życzliwość.

Denise zapytała Jerry'ego McCarthy'ego, czy zamierza pójść do college'u.

- Nie wiem. Nie sędę. - Chłopak oblał się rumieńcem. Może podkochał się trochę w Denise, a może czuł się przy niej jak dziecko, chłopiec, który nadal mieszka z rodzicami, ma pulchne nadgarstki i brzuszki.

- Idź na kursy zaoczne - doradziła żwawo Denise. - Możesz się zapisać zaraz po Bożym Narodzeniu. Wystarczy jeden kurs. Powinieneś spróbować. - Kiwnęła głową i spojrzała na Henry'ego, który odpowiedział tym samym.

- To prawda, Jerry - potwierdził, choć dotychczas niewiele myśli poświęcił temu chłopakowi. - Co cię interesuje?

Jerry wzruszył masywnymi ramionami.

- Coś cię musi interesować.

- Takie rzeczy jak te. - Chłopak wskazał pudła z zapakowanymi tabletkami, które nieco wcześniej wniósł tylnymi drzwiami na zaplecze.

Zdumiewająca sprawa, ale zapisał się na zajęcia z dziedziny nauk przyrodniczych i gdy wiosną wyznał, że uzyskał ocenę celującą, Denise poleciła:

– Nie ruszaj się stąd.

Wróciła ze sklepu spożywczego z niedużym tortem w pudełku i oznajmiła:

– Henry, jeśli nie zadzwoni telefon, to będziemy świętowali.

Opychając się ciastem, Jerry powiedział Denise, że poprzedniej niedzieli był w kościele na mszy, aby się pomodlić o dobre wyniki na egzaminie.

Tego typu reakcje katolików zawsze zaskakiwały Henry'ego. Już otwierał usta, by powiedzieć: „Bóg nie uzyskał dla ciebie celującej oceny, Jerry, zdobyłeś ją sam”, lecz Denise uprzedziła go, pytając:

– Chodzisz do kościoła w każdą niedzielę?

Chłopak z zakłopotaną miną zlizął lukier z palców.

– Teraz będę chodził – odparł, na co Denise parsknęła śmiechem, a Jerry jej zawtórował, zarumieniony i rozpromieniony.

*

Obecnie jest późna jesień, listopad, wiele lat później; i gdy Henry w niedzielny poranek przeciąga grzebieniem po włosach, musi zebrać z jego czarnych plastikowych zębów kilka siwych kosmyków, zanim wsunie grzebień z powrotem do kieszeni. Przed wyjściem do kościoła rozpala w kuchennym piecyku, ze względu na Olive.

– Powtórzysz mi najnowsze plotki – mówi Olive, poprawiając na sobie sweter i zaglądając do dużego garnka, w którym bulgocze wywar jabłkowy. Ma to być mus z ostatnich jabłek w sezonie i jego zapach ociera się o nozdrza, słodki, znajomy, wydobywający jakieś tęskne wspomnienia, zanim Henry, w swoim krawacie i tweedowej marynarce, otworzy drzwi.

– Postaram się – odpowiada.

Nikt już teraz, jak się wydaje, nie chodzi do kościoła w garniturze. Tak naprawdę jedynie garstka wiernych uczęszcza regularnie na nabożeństwa. To zasmuca i martwi Henry'ego. W ciągu ostatnich pięciu lat wysłuchiwali dwóch duchownych, z których żaden nie wygłosił wiekopomnego kazania. Obecny pastor, brodaty mężczyzna, który nie nosi odpowiedniej szaty, zdaniem Henry'ego nie utrzyma się długo. Jest młody, ma żonę i dzieci, będzie musiał wyruszyć gdzie indziej. Henry martwi się ponadto malejącą liczbą wiernych oraz tym, iż być może inni wyczuli już to, czemu on z coraz większym uporem stara się zaprzeczać – a mianowicie, że cotygodniowe nabożeństwo nie przynosi rzeczywistej pociechy. Kiedy wszyscy pochylają głowy albo śpiewają hymn, Henry nie odnosi już wrażenia, że otacza ich błogosławieństwo Bożej obecności. Olive stała się nieubłaganą ateistką. On sam nie wie, kiedy to nastąpiło. Nie była nią, gdy się pobierali; na zajęciach z biologii w college'u, po sekcjach i preparowaniu zwierząt, rozmawiali o tym, że sam układ oddechowy jest cudem, dziełem stworzonym przez wspaniałą siłę.

Henry dojeżdża gruntową drogą do tej utwardzonej, prowa-dzącej do miasta. Nieliczne ciemnoczerwone liście pozostały przychepione do niemal nagich gałęzi klonów; liście dębów są rdzawe i pomarszczone, za drzewami przelotnie połyskuje zatoka, gładka dziś i stalowoszara pod zasnutym chmurami listopadowym niebem. Henry mijają miejsce, gdzie dawniej znajdowała się apteka. Stoi tam teraz duża drogeria należąca do sieci handlowej, z ogromnymi szklanymi, rozsuwanymi drzwiami, która zajmuje powierzchnię niegdysiejszej apteki i sklepu spożywczego, a nawet parkingu na tyłach, gdzie pod koniec dnia Henry i Denise przystawali na kilka chwil, zanim każde wsiadło do swojego auta – wszystko to obecnie należy do sklepu, w którym sprzedaje się nie tylko lekarstwa, lecz także papierowe ręczniki w dużych rolkach i worki na śmieci wszelkich możliwych rozmiarów. Można tam nawet kupić talerze i kubki, kuchenne łopatkę i pokarm dla kotów. Drzewa na obrzeżach wycięto, żeby zrobić więcej miejsca na parking. „Przyzwyczajasz się do pewnych rzeczy – myśli Henry – choć właściwie nie potrafisz się do nich przyzwyczaić”.

Wydaje się, że upłynęło bardzo wiele lat od tych chwil, kiedy Denise drżała w zimowym chłodzie, zanim wreszcie wsiadła do swojego samochodu. Jaka ona była młoda! Jakież to bolesne, wspominać wyraz konsternacji na jej dziewczęcej twarzy; a mimo to Henry wciąż pamięta, że potrafił skłonić ją do uśmiechu. Teraz, w odległym Teksasie – tak daleko, że jest to niemal inny kraj – Denise jest w tym samym wieku co Henry w

tamtych czasach. Pewnego wieczoru upuściła czerwoną mitenkę, on się schylił, by ją podnieść, przytrzymał mankiet i obserwował wsuwającą się weń drobną dłoń.

Biały kościół stoi w sąsiedztwie klonów o nagich gałęziach. Henry wie, dlaczego z taką intensywnością myśli o Denise. Po raz pierwszy od dwudziestu lat nie otrzymał w minionym tygodniu kartki urodzinowej, która zawsze przychodziła punktualnie. Do kartki Denise dołącza przeważnie krótki list. Czasami jedna lub dwie linijki wystają poza margines, jak rok wcześniej, gdy wspomniała, że Paul, który poszedł do pierwszej klasy szkoły średniej, stał się otyły. Jej własne określenie. „Paul ma teraz naprawdę poważny problem – trzysta funtów to już otyłość”. Nie wspomniała, czy ona sama lub jej mąż zamierzają coś na to poradzić, jeśli w ogóle potrafią. Młodsze córki, bliźniaczki, są wysportowane i chłopcy zaczynają do nich wydzwaniać. „Co mnie przeraża”, jak skwitowała Denise. Nigdy nie pisze na zakończenie: „Całuję”, tylko kreśli swoim schludnym charakterem pisma: „Denise”.

Na zwirowanym przykościelnym parkingu wysiadła właśnie z auta Daisy Foster. Otworzyła usta z udawanym zaskoczeniem i radością – choć radość akurat jest szczerą, bo Daisy zawsze się cieszy, gdy widzi Henry’ego, i on o tym wie. Jej mąż zmarł przed dwoma laty, emerytowany policjant, który napalił się papierosów, aż się nimi zakopcił na śmierć, dwadzieścia pięć lat starszy od Daisy. Pozostała taka sama jak zawsze, pełna wdzięku, miła i błękitnooka. Henry nie ma pojęcia, co się z nią stanie. Zajmując swoje zwykłe miejsce w ławce pośrodku, zaczyna myśleć, że kobiety są o wiele dzielniejsze od mężczyzn. Ewentualność, że Olive umrze i zostawi go samego, budzi zgrozę, której Henry nie potrafi znieść.

I wtedy powraca myślami do apteki, która już nie istnieje.

– Henry wyjeżdża na ten weekend na polowanie – powiedziała Denise pewnego listopadowego przedpołudnia. – Czy ty polujesz, Henry? – Porządkowała szufladkę kasy i nie patrzyła na niego.

– Kiedyś tak – odparł. – Teraz jestem już na to za stary.

Kiedy jeden jedyny raz w życiu zastrzelił sarnę, nie mógł patrzeć, jak głowa uroczego, niczego nieświadomego zwierzęcia kołysze się w tył i naprzód, a potem smukłe nogi załamują się i stworzenie pada na leśne poszycie. „Och, mięczak z ciebie” – zauważyła wówczas Olive.

– Henry jedzie z Tonym Kuziem. – Denise wsunęła szufladkę na miejsce i podeszła do lady, by uporządkować na nowo miętówki i gumy do żucia, ułożone schludnie z samego przodu. – To jego najlepszy przyjaciel od piątego roku życia.

– Co teraz porabia?

– Ożenił się i ma dwoje dzieci. Pracuje w Midcoast Power i kłóci się z żoną. – Denise zerknęła na Henry’ego. – Nie powtarzaj tego nikomu.

– Nie powtórzę.

– Ona często jest bardzo spięta i krzyczy na niego. Jej, nie chciałabym takiego życia.

– No nie, tak się nie da żyć.

Zadzwoił telefon i Denise, odwracając się swawolnie na palcach, podniosła słuchawkę.

– Tu miejscowa apteka, dzień dobry. Czy mogę służyć? – Chwila milczenia. – O tak, mamy multiwitaminę bez dodatku żelaza... Bardzo proszę.

Podczas przerwy na lunch nawiązała rozmowę ze zwałistym Jerry’em o dziecięcej twarzy.

– Mój mąż bez przerwy opowiadał mi o Tonym. O tarapatkach, w jakie się pakowali, kiedy byli dziećmi. Raz powędrowali dokądś i wrócili dopiero po zmierzchu, a mama Tony’ego powiedziała: „Tak się martwiłam, Tony. Mogłabym cię zabić”. – Denise wyskubała kłaczek z rękawa szarego swetra. – Zawsze wydawało mi się to zabawne. Martwisz się, że twoje dziecko mogło zginąć, a potem grozisz, że je zabijesz.

– Zaczekaj tylko – wtrącił Henry Kitteridge, omijając pudła, które Jerry wniósł na zaplecze. – Od pierwszej gorączki już nigdy nie przestaniesz się zamartwiać.

– Już nie mogę się doczekać – powiedziała i Henry po raz pierwszy uświadomił sobie, że wkrótce będzie miała dzieci i przestanie dla niego pracować.

Niespodziewanie przemówił Jerry:

- Lubisz go? To znaczy Tony'ego? Dogadujecie się jakoś?

- Lubię – odparła Denise. – Dzięki Bogu. Bałam się naszego pierwszego spotkania. Czy ty masz jakiegoś bliskiego przyjaciela z dzieciństwa?

- Chyba tak. – Rumieniec zabarwił tłuste, gładkie policzki Jerry'ego. – Ale nasze drogi tak jakby się rozeszły.

- Moja najlepsza przyjaciółka – podjęła Denise – zaczęła się tak jakby puszczać, kiedy poszliśmy do liceum. Chcesz jeszcze coś do picia?

Sobota w domu: lunch składał się z kanapek z krabami i zapiekany serem. Christopher właśnie unosił jedną z nich do ust, gdy zadzwonił telefon i Olive poszła go odebrać. Christopher czekał, choć nikt go o to nie prosił, z kanapką w znieruchomiałej ręce. Umysł Henry'ego zarejestrował tę chwilę – instynktowny szacunek okazany przez syna – gdy w sąsiednim pokoju zabrzmiał głos Olive.

- Och, biedne dziecko – powiedziała tonem, który Henry zapamiętał na zawsze, tonem przepełnionym tak wyraźną zgrozą, że niemal odartym z całej zewnętrznej warstwy „oliveności”. – Biedne, biedne dziecko.

Henry wstał i poszedł do drugiego pokoju. Zapamiętał z tego niewiele: tylko cichutki głos Denise i późniejszą kilkuminutową rozmowę z jej teściem.

Nabożeństwo żałobne odbyło się w kościele pod wezwaniem Matki Świętej od Pokuty w rodzinnym miasteczku Henry'ego Thibodeau, oddalonym o trzy godziny jazdy. Kościół był duży i ciemny, z wielkimi witrażowymi oknami. Duchowny stał przed ołtarzem w fałdzistej białej szacie, kołysząc kadzielnicą; gdy Olive i Henry przybyli na miejsce. Denise siedziała już w ławce z samego przodu obok swoich rodziców, braci i sióstr. Trumna była zamknięta, tak samo jak podczas czuwania poprzedniej nocy. Kościół wypełnił się ludźmi. Henry, siedzący obok Olive w jednej z tylnych ławek, nie rozpoznał nikogo, dopóki czyjś potężny, milczący cień nie skłonił go do uniesienia oczu – i okazało się, że to Jerry McCarthy. Henry i Olive przesunęli się trochę, żeby zrobić mu miejsce. Jerry szepnął: „Przeczytałem o tym w gazecie”, a Henry na chwilę położył dłoń na jego tłustym kolanie.

Nabożeństwo ciągnęło się długo; po czytaniach z Pisma Świętego nastąpiły inne czytania, potem zaś staranne przygotowania do przyjęcia komunii. Kapłan rozłożył obrusy i nakrył nimi stół, a ludzie kolejno wstawali z ławek, podchodzili, klękali i otwierali usta na przyjęcie hostii. Wszyscy wypili po łyku z tego samego dużego, srebrnego kielicha. Henry i Olive pozostali na swoich miejscach. Mimo poczucia nierealności, które go ogarnęło, Henry zwrócił uwagę na niehigieniczność całego procesu, gdy wszyscy piją z tego samego naczynia, i zauważył również – z cynizmem – że duchowny na zakończenie odchylił w tył haczykowany nos i wysączył ostatnie krople.

Sześciu młodych mężczyzn poniosło trumnę główną nawą. Olive trąciła łokciem Henry'ego, który kiwnął głową. Jeden z żałobników niosących trumnę, tych ostatnich, miał twarz tak bladą i oszołomioną, że Henry zaczął się obawiać, iż zasłabnie. Był to Tony Kuzio, który kilka dni wcześniej, o poranku, pomylił Henry'ego Thibodeau z jeleniem, pociągnął za spust i niechcący zastrzelił swego najlepszego przyjaciela.

Kto miał jej pomóc? Jej ojciec mieszkał gdzieś na północy stanu Vermont z kaleką żoną, bracia i bratowe byli daleko, teściów unieruchomiła żałoba. Denise zatrzymała się u teściów na dwa tygodnie, a po powrocie do pracy powiedziała Henry'emu, że nie może u nich dłużej zostać; byli dla niej bardzo dobrzy, lecz przez całą noc słyszała płacz teściowej i dostawała od tego gęsiej skórki. Musiała się wyplakać w samotności.

- Oczywiście, że tak, Denise.

- Ale nie mogę wrócić do przyczepy.

- Nie.

Tamtej nocy usiadł na łóżku i podparł podbródek obiema dłońmi.

- Olive – przemówił – ta dziewczyna jest całkowicie bezradna. Nie potrafi nawet prowadzić samochodu i nigdy jeszcze nie wypisała czeku.

- Jak to możliwe – spytała Olive – że ktoś wychował się w stanie Vermont i nie umie prowadzić?

- Nie wiem - wyznał Henry. - Nie miałem pojęcia, że ona nie umie prowadzić.
- No cóż, teraz rozumiem, dlaczego Henry się z nią ożenił. Na początku nie byłam pewna. Ale wystarczyło, że przyjrzałam się jego matce na pogrzebie... och, biedactwo. Nie ma w sobie ani odrobiny energii.

- Jest zupełnie załamana.

- To potrafię zrozumieć - powiedziała cierpliwie Olive. - Chcę ci po prostu wyjaśnić, że ożenił się ze swoją matką. Mężczyźni tak postępują - zawiesiła głos. - Z wyjątkiem ciebie.

- Będzie musiała się nauczyć prowadzić auto - oznajmił Henry. - To po pierwsze. I potrzebuje mieszkania.

- Zapisz ją na kursy jazdy.

Zamiast tego zabrał ją swoim samochodem na przejażdżkę bocznymi, gruntowymi drogami. Spadł śnieg, lecz na trasach prowadzących w stronę wody ubiły go koła rybackich ciężarówek.

- Dobrze. Teraz powoli naciśnij pedał sprzęgła. - Samochód wierzgnął niczym dziki koń, a Henry wsparł się ręką o tablicę rozdzielczą.

- Och, przepraszam - szepnęła Denise.

- Nie ma za co. Świetnie sobie radzisz.

- Po prostu się boję. Ojej.

- Ponieważ to dla ciebie nowość. Ale, Denise, nawet przygłup może prowadzić samochód.

Spojrzała na niego i nagle wezbrał w niej chichot, na co Henry, chcąc nie chcąc, także parsknął śmiechem. Denise chichotała coraz głośniejsze, aż łzy napłynęły jej do oczu. Musiała zatrzymać samochód i wziąć od Henry'ego białą chustkę do nosa. Spoglądał przez okno, gdy zdjęła okulary i skorzystała z chustki. Przyprószony śniegiem las wzdłuż drogi wyglądał jak czarno-biały obraz. Nawet zimozielone drzewa wydawały się ciemne, a ich gałęzie rozpościerały się nad czarnymi pniami.

- No dobrze - powiedziała wreszcie. Ponownie uruchomiła samochód i Henry znowu poleciał do przodu. Gdyby spaliła sprzęgło, Olive byłaby wściekła.

- Wszystko w porządku - zwrócił się do Denise. - Ćwiczenie czyni mistrza, ot co.

Kilka tygodni później zawiózł ją do Augusty, gdzie zdała egzamin na prawo jazdy, a potem pojechał z nią kupować samochód. Miała na to fundusze. Henry Thibodeau, jak się okazało, załatwił dobrą, rzetelną polisę ubezpieczeniową na życie, więc przynajmniej tyle pozostało Denise. Henry Kitteridge pomógł jej ubezpieczyć samochód i wyjaśnił, jak płacić raty. Wcześniej zaprowadził ją do banku, gdzie po raz pierwszy w życiu założyła konto z rachunkiem bieżącym. Pokazał jej, jak się wypisuje czek.

Był przerażony, gdy usłyszał pewnego dnia, jaką kwotę Denise przekazała kościołowi Matki Świętej od Pokuty, żeby co tydzień zapalano Henry'emu świeczkę, a raz w miesiącu odprawiano nabożeństwo. Powiedział: „To miło z twojej strony, Denise”. Wyraźnie straciła na wadze, a gdy pod koniec dnia stanął na ciemnym parkingu, patrząc na jedno z oświetlonych okien budynku, ujrzał nagle obraz jej niespokojnie wychylonej głowy nad kierownicą; i gdy wsiadł do własnego auta, ogarnął go smutek, którego przez całą noc nie potrafił przewyciężyć.

- Co cię, u diabła, trapi? - zapytała Olive.

- Denise - odpowiedział. - Jest bezradna.

- Ludzie nigdy nie są tacy bezradni, na jakich wyglądają - odparła Olive. Przykrywając garnek na kuchence, dodała: - Boże, tego właśnie się obawiałam.

- Czego?

- Wyprowadź tego cholernego psa - nakazała Olive. - I usiądź do kolacji.

Znalazło się mieszkanie w jednym z bloków na niewielkim nowym osiedlu na obrzeżach miasta. Teść Denise i Henry po-mogli jej przewieźć nieliczne rzeczy. Mieszkanie znajdowało się na parterze i nie docierało tam zbyt wiele światła. „Przynajmniej jest tu czysto” - powiedział Henry, gdy Denise otwierała lodówkę i wpatrywała się w zupełnie puste wnętrze. Zamykając lodówkę, kiwnęła tylko głową. Powiedziała cicho:

- Jeszcze nigdy nie mieszkałam sama.

W aptece zauważył, że Denise chodzi jak we śnie; sam poczuł, że jego własne życie stało się nie do zniesienia, w sposób, którego nigdy by nie przewidział. Nie pojmował siły tego odczucia. Ale to wzbudziło w nim niepokój: mógł popełniać błędy. Zapomniał powiedzieć Cliffowi Mottowi, żeby jadł banany, bo mają dużo potasu, a to mu się przyda, odkąd zażywa środek moczopędny razem z glikozydami nasercowymi. Stara Tibbetsowa źle spała z powodu erytromycyny; czy jej nie poradził, żeby zażywała lek podczas posiłku? Pracował wolniej, przeliczając tabletki dwa albo trzy razy przed włożeniem ich do fiolek, sprawdzając dokładnie przepisywane recepty. W domu patrzył na przemawiającą Olive szeroko otwartymi oczami, żeby widziała, iż poświęca jej całą uwagę. Ale nie poświęcał. Olive była obcą, przerażającą osobą; jego syn często sprawiał wrażenie, jakby uśmiechał się szyderczo.

- Wynieś śmieci! - wrzasnął Henry pewnego wieczoru, gdy otworzył szafkę pod kuchennym zlewem i zobaczył worek wypełniony skorupkami jajek, psimi kudłami i kulkami woskowanego papieru. - O to jedno cię prosimy, a ty nawet tego nie robisz!

- Nie krzycz - zwróciła mu uwagę Olive. - Myślisz, że dzięki temu jesteś bardziej męski? Jakie to żałosne.

Nadeszła wiosna. Dni stały się dłuższe, śnieg topniał na drogach, powlekając je mokrą warstwą. Forsycje rozkwiatały złocistymi chmurami w chłodnym powietrzu. A potem rododendrony wystawiły z rozmachem czerwone głowy. Henry spoglądał na wszystko oczami Denise i uznał, że to piękno jest nachalne. Mijając farmę Caldwellów, dostrzegł odręcznie wypisaną tabliczkę: KOCIĘTA DO ODDANIA - i nazajutrz przyjechał do apteki z kuwetą, puszkami kociego jedzenia oraz czarnym kociakiem z białymi zakończeniami łapek sprawiającymi, że wyglądał, jakby wdepnął w miskę z bitą śmietaną.

- Och, Henry! - wykrzyknęła Denise, chwytając zwierzątko i przytulając je do piersi.

Poczuł się niezmiernie zadowolony.

Kapcio, ponieważ był jeszcze taki mały, spędzał dni w aptece, gdzie Jerry McCarthy musiał go trzymać. Przyciskając zwierzątko tłustą dłonią do przepoconej koszuli, mówił do Denise: „Och, kurczę. Jaki uroczy. To bardzo miłe” - dopóki Denise nie uwolniła go od puszystego brzemienia, odbierając Kapcia i ocierając się policzkiem o jego pyszczek, czemu Jerry przyglądał się z boku, rozchyliwszy wydatne, błyszczące usta. Zaliczył dwa dodatkowe kursy na uniwersytecie i ponownie uzyskał oceny celujące. Henry i Denise złożyli mu gratulacje z minami roztargnionych rodziców. Tym razem nie było tortu.

Denise miewała napady gorączkowej wielomówności, po których następowały dni milczenia. Czasami wychodziła z apteki tylnymi drzwiami i wracała z podpuchniętymi oczami. „Idź wcześniej do domu, jeśli tego potrzebujesz” - powiedział jej kiedyś. Ale ona spojrzała na niego z przerażeniem. „Nie. Ojej, tylko nie to. Chcę zostać tutaj”.

Lato było ciepłe tamtego roku. Henry pamięta ją stojącą przy wentylatorze obok okna, z cienkimi włosami powiewającymi w drobnych, delikatnych falach, gdy patrzyła w szybę przez okulary. Długo tam stała. Na tydzień pojechała do jednego z braci. Następnym tygodniem spędziła u rodziców. „Chcę zostać właśnie tutaj” - oznajmiła po powrocie.

- Gdzie ona znajdzie drugiego męża w takim małym miasteczku? - zapytała Olive.

- Nie wiem. Sam się nad tym zastanawiam - odparł Henry.

- Mężczyzna wstąpiłby do Legii Cudzoziemskiej, ale chyba nie ona.

- Nie, zdecydowanie nie.

Nadeszła jesień, której się obawiał. W rocznicę śmierci Henry'ego Thibodeau Denise poszła na mszę z teściami. Poczuł ulgę, gdy skończył się już ten dzień, gdy minął cały tydzień, a potem następny, choć zbliżały się święta i na samą myśl o nich drżał z wysiłku, jakby dźwigał ciężar, którego nie może postawić na ziemi. Gdy pewnego wieczoru podczas kolacji zadzwonił telefon, podniósł słuchawkę pełen złych przeczuć. Usłyszał ciche popłakiwanie Denise. Kapcio wymknął się z domu, a ona chciała tylko pojechać do sklepu, no i potrafiła kota.

- Jedź - ponagliła Olive. - Na miłość boską, jedźże wreszcie i pociesz swoją przyjaciółkę.

- Przestań, Olive - powiedział Henry. - To niepotrzebne. Ona jest młodą wdową, która właśnie przejechała swojego kota. Na Boga, nie ma w tobie ani krzty współczucia? - Cały dygotał.

- Nie przejechałaby żadnego cholernego kota, gdybyś go jej nie podarował.

Zabrał z sobą valium. Przesiedział wieczór na sofie, bezradny, podczas gdy Denise płakała. Bardzo chciał objąć jej szczupłe ramiona, lecz się powstrzymał i splótł dłonie na kolanach. Z kuchennego stołu docierało do nich światło małej lampki. Denise wydmuchała nos w białą chusteczkę i przemówiła: „Och, Henry, Henry”. Nie wiedział, o którego Henry’ego jej chodzi. Popatrzyła na niego; jej nieduże oczy tak zapuchły, że ledwo było je widać. Zdjęła okulary, by przetrzeć je chustką.

– Rozmawiam z tobą w myślach przez cały czas – powiedziała. Włożyła z powrotem okulary. – Przepraszam – dodała szeptem.

– Za co?

– Za to, że rozmawiam z tobą w myślach przez cały czas.

– Nie, nie przepraszaj.

Ułożył ją spać jak dziecko. Posłuszenie poszła do łazienki i przebrała się w piżamę, a potem weszła do łóżka i przykryła się kołdrą pod brodę. Henry usiadł na skraju łóżka i głaskał ją po głowie, dopóki valium nie zaczęło działać. Powieki Denise opadły, odwróciła głowę i wymruczała coś niewyraźnie. Gdy wracał powoli do domu wąskimi drogami, ciemność wydawała się żywa i złowroga, napierająca na szyby samochodu. Henry wyobraził sobie przeprowadzkę na północ stanu i mały domek, w którym zamieszkałby z Denise. Znalazłby tam jakąś pracę, a Denise mogłaby urodzić dziecko. Dziewczynkę, która by go ubóstwiała; córki przeważnie ubóstwiają ojców.

– No i jak tam, pocieszycielu wdów? Jak ona się miewa? – odezwała się Olive z łóżka w ciemności.

– Stara się przeżyć – odparł.

– Jak my wszyscy.

Nazajutrz rano on i Denise pracowali w intymnej ciszy. Kiedy stała przy kasie, a on za swoją ladą, czuł nieustannie jej niewidoczną obecność, jakby nagle pojawił się Kapcio – albo on sam wcielił się w niego i ich wewnętrzne osobowości otarły się o siebie. Pod koniec dnia powiedział: „Zaopiekuję się tobą” głosem zachrypłym ze wzruszenia.

Stojąc przed nim, kiwnęła głową. Zapiął jej płaszcz.

Do dzisiaj nie wie, co wówczas myślał. Prawdę mówiąc, większości tych myśli nie pamięta. Tony Kuzio odwiedził Denise kilka razy. Powiedziała Tony’emu, że powinien pozostać w stanie małżeńskim, bo gdyby się rozwiódł, już nigdy nie będzie mógł wziąć ślubu w kościele. Ukłucie zazdrości i gniewu na myśl o Tonym siedzącym późnym wieczorem w małym mieszkanku Denise i błagającym o wybaczenie. Poczucie, że tonie w pajęczynach, otaczających go lepka siecią. Chciał, by Denise nadal go kochała. I tak było. Dostrzegł to w jej oczach, gdy upuściła czerwoną mitenkę, a on ją podniósł i przytrzymał. „Rozmawiam z tobą w myślach przez cały czas”. Ból był ostry, przeszywający, nie do wytrzymania.

– Denise – przemówił Henry pewnego wieczoru, gdy zamykali aptekę. – Przydałoby ci się kilku przyjaciół.

Zarumieniła się mocno. Kilkoma szorstkimi gestami naciągnęła płaszcz.

– Mam przyjaciół – szepnęła.

– Oczywiście. Ale tutaj, w mieście. – Zaczekał przy drzwiach, dopóki nie przyniosła z zaplecza portmonetki. – Mogłabyś pójść na tańce do Grange Hall. Chodziliśmy tam z Olive tańczyć w cztery pary. Można poznać miłych ludzi.

Wyminęła go z wilgotną twarzą, czubek jej głowy mignął mu przed oczami.

– A może myślisz, że to staroświecka zabawa? – dodał niezręcznie już na parkingu.

– Sama jestem staroświecka – oznajmiła cicho.

– Tak – powiedział równie cicho. – Ja też.

Wracając po ciemku do domu, wyobraził sobie, że zabiera Denise na tańce do Grange Hall. „Obróćcie się i przechadzajcie...” – Uśmiech rozświetlający jej twarz, przytupujące stopy, drobne dłonie wsparte o biodra. Nie – to było nie do wytrzymania i teraz naprawdę się przestraszył, że wywołał w niej irytację. Nic nie mógł dla niej zrobić. Nie mógł wziąć jej w ramiona, ucałować wilgotnego czoła, spać u jej boku, gdy miała na sobie tę swoją dziecienną flanelową piżamę, w którą się ubrała po śmierci Kapcia. Opuszczenie Olive było równie nie do pomyślenia jak odpiłowanie własnej nogi. Tak czy inaczej, Denise nie zechciałaby rozwiedzonego protestanta, on zaś nie potrafiłby znieść jej katolicyzmu.

Dni mijały, a oni niewiele do siebie mówili. Wyczuwał bijące od niej fale oskarżycielskiego chłodu. Czego oczekiwała? A jednak, gdy wspominała odwiedziny Tony'ego Kuzia albo napomknęła przelotnie o filmie, który widziała w Portland, w Henrym wzbierał podobny chłód. Musiał zaciskać zęby, by nie palnąć: „Więc jesteś zbyt staroświecka na stare tańce?”. Poczuł silną niechęć, gdy słowa „kłótnia kochanków” przemknęły mu przez myśl.

I wtedy, znienacka, Denise przemówiła – pozornie do Jerry'ego McCarthy'ego, którego zwalista sylwetka, gdy słuchał, przybierała ostatnio nową postawę, ale tak naprawdę do Henry'ego (widział to w jej spojrzeniu i nerwowym zaciskaniu drobnych dłoni).

– Kiedy byłam małym dzieckiem, moja mama, zanim się rozchorowała, piekła specjalne ciasteczka na Boże Narodzenie. Ozdabialiśmy je lukrem i kolorową posypką. Och, wtedy chyba najlepiej się bawiłam – jej głos zdrzął, a oczy zamrugały za szklami okularów.

Henry zrozumiał wówczas, że wraz ze śmiercią męża umarły również dziewczęce lata Denise; opłakiwała utratę jedynej siebie, jaką kiedykolwiek знаła, utratę na rzecz młodej, oszołomionej wdowy. Oczy Henry'ego, gdy na nią patrzył, złagodniały.

Tak się to odbywało. Po raz pierwszy w swym życiu farmaceuty Henry zaczął zażywać tabletki nasenne, wsuwając codziennie jedną do kieszeni spodni. „Wszystko w porządku, Denise?” – wołał tuż przed zamknięciem. A ona albo w milczeniu sięgała po płaszcz, albo odpowiadała, spoglądając na niego łagodnie: „W porządku, Henry. Minął kolejny dzień”.

*

Daisy Foster, która właśnie wstała, by odśpiewać hymn, odwraca głowę z uśmiechem. Henry odpowiada kiwnięciem i otwiera kościelny śpiewnik. „Bóg nasz potężną jest fortecą, niezdobytym bastionem”. Te słowa i głosy nielicznych śpiewających osób napęniają go nadzieją, a równocześnie głębokim smutkiem. „Mogłabyś kogoś pokochać” – poradził Denise, kiedy podeszła do niego na zapleczu tamtego wiosennego dnia. Teraz, gdy odkłada śpiewnik na pulpit przed sobą i siada ponownie w wąskiej ławce, myśli o ostatnim spotkaniu z Denise. Jadąc na północ w odwiedziny do rodziców Jerry'ego, wstąpili do nich po drodze wraz z dzieckiem, Paulem. Henry pamięta sarkastyczne uwagi Jerry'ego na temat Denise usypiającej co wieczór na sofie i zostającej tam czasami na całą noc. Denise odwracała głowę i spoglądała na zatokę, przygarbiona; jej drobne piersi ledwo się zaznaczały pod cienkim golfem, lecz zarys brzucha przywodził na myśl piłkę do gry w koszykówkę – jakby ją połknęła, przeciętą na pół. Nie była już dziewczyną jak przedtem – żadna dziewczyna nie pozostaje dziewczyną – ale matką, zmęczoną matką, której krągłe policzki zapadały się, w miarę jak rósł jej brzuch, tak że siła ciężkości życia zdawała się przyciągać ją ku ziemi. W takim właśnie momencie Jerry przemówił ostro:

– Denise, nie garb się. Rozprostuj łopatki. – Popatrzył na Henry'ego, kręcąc głową. – Ile razy mam jej to powtarzać?

– Spróbuj trochę zupy rybnej – powiedział Henry. – Olive ugotowała ją wczoraj wieczorem.

Musieli jednak ruszać dalej, a gdy odjeżdżali, nie skomentował wizyty ani słowem; podobnie, o dziwo, zachowała się Olive. Nie przyszłoby mu do głowy, że Jerry wyrośnie na takiego mężczyznę: postawnego, o schludnym wyglądzie – dzięki staraniom Denise – już nie tak otyłego, po prostu dużego faceta z dużą pensją, odzywającego się do żony takim tonem, jakim Olive przemawiała czasami do Henry'ego. Nie zobaczył już więcej Denise, choć bywała zapewne w okolicy. W kartkach urodzinowych napomknęła o śmierci matki, a kilka lat później – ojca. Musiała, oczywiście, pojechać na północ, by wziąć udział w pogrzebach. Czy myślała o nim? Czy ona i Jerry odwiedzili grób Henry'ego Thibodeau?

– Wyglądasz świeżo jak pączek róży – mówi Henry, zwracając się do Daisy Foster na parkingu przed kościołem. To ich żart, powtarza jej to samo od lat.

– Jak się miewa Olive? – Niebieskie oczy Daisy nadal są duże i śliczne, zawsze się uśmiecha.

– Doskonale. Podsyca domowe ognisko. A co nowego u ciebie?

– Mam kawalera. – Daisy mówi to cichym głosem, przysłaniając dłonią usta.

– Naprawdę? To wspaniale, Daisy.

– W dzień sprzedaje polisy ubezpieczeniowe w Heatwick, a w piątkowe wieczory zabiera mnie na tańce.

- Och, to wspaniale – powtarza Henry. – Musisz go przyprowadzić do nas na kolację.
- Dlaczego chcesz wszystkich żenić? – zapytał go ze złością Christopher, kiedy Henry zagadnął syna na temat jego życia. – Nie mógłbyś zostawić ludzi samym sobie?
Nie chce zostawiać ludzi samym sobie.

W domu Olive wskazuje ruchem głowy stół, na którym obok afrykańskiego fiolka leży kartka od Denise.

- Przyszła wczoraj – wyjaśnia. – Zapomniałam powiedzieć.

Henry siada ociężale, rozrywa kopertę długopisem, znajduje okulary, czyta. List jest dłuższy niż zwykle. Tego lata Denise najadła się strachu. Wysiłek w worku osierdziowym, który okazał się błahostką. „To mnie odmieniło – napisała – jak często bywa z podobnymi doświadczeniami. Uporządkowało najważniejsze sprawy i od tamtego dnia odczuwam głęboką wdzięczność dla mojej rodziny. W życiu liczy się tylko rodzina i przyjaciele – kontynuowała swym schludnym, drobnym charakterem pisma. – A ja zostałam obdarzona jednym i drugim”.

List po raz pierwszy był podpisany: „Ściskam i całuję”.

- Co u niej słyhać? – pyta Olive, puszczając wodę do zlewu.

Henry spogląda na zatokę, na smukłe świerki rosnące wzdłuż linii wybrzeża i wszystko to wydaje mu się piękne, widzi Boży majestat w spokojnym dostojęństwie nadmorskiego pejzażu i rozkołysanej wody.

- Wszystko w porządku – odpowiada.

Nie od razu, lecz za chwilę podejździe do Olive i położy dłoń na jej ramieniu. Olive też przeżyła swoje własne smutki. Henry zrozumiał bowiem dawno temu – po tym, jak samochód Jima O’Caseya wypadł z drogi, a Olive przez wiele tygodni kładła się do łóżka zaraz po kolacji, szlochając szorstko w poduszkę – zrozumiał, że kochała Jima, on zaś prawdopodobnie kochał ją, choć Henry nigdy o to nie pytał, a ona o niczym nie wspomniała, podobnie jak on sam nie wspomniał jej o porywającej, obezwładniającej potrzebie, którą budziła w nim Denise aż do dnia, gdy poinformowała go o oświadczeniach Jerry’ego, na co odpowiedział: „Idź”.

Kładzie list na parapecie. Zastanawia się przez chwilę, co czuła, pisząc słowa: „Drogi Henry”, czy poznała od tamtego czasu innych Henrych? Nie mógł tego wiedzieć. Nie wie również, co się stało z Tonym Kuziem i czy w kościele nadal są zapalane świece w intencji Henry’ego Thibodeau.

Henry staje wyprostowany, przez jego głowę przemyka myśl o Daisy Foster, wspomnienie jej uśmiechu, gdy napomknęła o tańcach. Ulga, której doznał, czytając kartkę od Denise, że raduje ją perspektywa otwierającego się przed nią życia, ustępuje nagle miejsca osobiwemu poczuciu straty, jakby odebrano mu coś ważnego.

- Olive – mówi.

Zagłusza go woda płynąca do zlewu. Olive nie jest już tak wysoka jak kiedyś i ma tęższe plecy. Zakręca kran.

- Olive – powtarza Henry, a ona odwraca się ku niemu. – Nie zamierzasz mnie zostawić, prawda?

- Och, na miłość boską, Henry. Potrafisz doprowadzić kobietę do mdłości. – Szybkimi ruchami wyciera dłonie w ścierkę.

Henry kiwa głową. Jak mógłby jej kiedykolwiek powiedzieć – nie mógłby – że wszystkie te lata, gdy czuł się winny z powodu Denise, kryły w sobie jedną zasadniczą prawdę: że wciąż ma ją dla siebie? Nie potrafi znieść tej myśli i już za chwilę się jej pozbędzie, uzna za nieprawdziwą. Któż bowiem potrafiłby myśleć w ten sposób o sobie – jako o człowieku, którego przygnębia szczęście innych? Nie, to niedorzeczność.

- Daisy ma kawalera – mówi. – Musimy ich niedługo zaprosić.

Więcej na www.wnk.com.pl